

SZPITAL W GROTACH

Korespondencja własna z Wietnamu

Ten szpital jest całkiem odmienny, niż inne podobne placówki wietnamskiej służby zdrowia, jakie zwiedzałam niedawno. Ścieżka pnie się łagodnym zakosami w górę. Na skałach tabliczki z napisem: *Va ben* — nagłe wypadki. *Phong don tiep* — sala przyjęć. *Kham ben h* — konsultacja. Białe fartuchy na tle szarych kamieni. Wita nas dyrektor szpitala dr Ding Tho i jego zastępca Phat Thach. Schodzimy w dół po stopniach wykutych w litej opoce. U góry widnieją nawisy i bloki skalne. Pod nogami — kamień. Na nim położona prowizoryczna podłoga: deski lub trzesczące drążki bambusów. W pobliżu słupki stalagmitów. Gdzieś niedaleko sople stalaktytów. Szpital ewakuowany z górniczego miasta Camoha umieszczono w grotach. Zebrała się znaczna część personelu — ponad trzydzieści osób. Serdeczne słowa powitania. — Czy szczątki szalałów widoczne z zewnątrz, są pozostałościami bombardowań? — pytam — aż tutaj próbował osiągnąć waszą placówkę powietrzni piraci?

Tak jest. Szpital atakowany był już kilkakrotnie. Początkowo nie starczyło nam miejsca w grotach. Poszerzaliśmy przestrzeń naturalnych podziemi, instalując w nich równocześnie najważniejsze urządzenia. Na zewnątrz, w bambusowych barakach, znalazło się laboratorium, apteka i żłobek dla dzieci naszych pracowników. Wszystko to zniszczyli Amerykanie. Trzeba więc było jak najprędzej przystosować grotę do umieszczenia w nich wszystkich oddziałów szpitala. Na zewnątrz mamy obecnie tylko poletka i zagony warzywne, a także placówki hodowlane, w których trzymamy bawoły, prosięta i drób dla naszych potrzeb.

Przygotowania do ewakuacji rozpoczęliśmy już wczesną jesienią 1964, po pierwszym bombardowaniu naszego okręgu w sierpniu. „Przeprowadzka” trwała około pięciu miesięcy. Najpierw przeniesiliśmy do grot naszą chirurgię. Po niej — inne oddziały szpitala. Nie mogliśmy skupić w jednym miejscu wielkiej ilości osób. Szpital został więc rozproszony. Tutaj leczymy wyłącznie ciężkie przypadki, a także prowadzimy prace doświadczalne i laboratoryjne.

— Jak dokonaliście przenosin szpitala?

— Głównym, niezawodnym środkiem lokomocji i transportu były nasze nogi oraz... plecy — uśmiecha się lekarz. — Wedrowaliśmy głównie na piechotę. Sami dźwigaliśmy sprzęt oraz cały dobytek szpitalny. Inaczej bowiem trudno poruszać się w górach. Nawet rowerami niełatwo lawirować wśród stromych spadziwych ścieżek. Jeszcze trudniej w tych warunkach posługiwać się samochodem. Zaczęliśmy naszą pracę od pogłębiania grot i wyrównywania kamiennego podłoża. Początkowo nie mieliśmy elektryczności. Posługiwaliśmy się lampami naftowymi i benzolowymi. Brakowało nam wody, choć równocześnie dokuczała nam woda spływająca po ścianach grot. Drażnienie studni w twardej opoce było trudne. Ale mamy studnię i cysternę, która służy jako zbiornik wody. Elektryczność dostarcza nam dynamo. Najcięższy etap mamy za sobą. Teraz praca toczy się prawie normalnie...

„Prawie normalnie”... te słowa dźwięczą mi w uszach, gdy wędruję

z jednej pieczary do innej. Chirurgia, pediatria, interna, ginekologia, otolaryngologia. Bomby spadły po raz ostatni całkiem niedawno, kilka dni temu. Niektórych chorych z grot położonych bliżej wejścia, gdzie zagrażały rozpryskujące się odłamki, przetransportowano wówczas na noszach do głębiej położonych części szpitala. Poruszanie się z noszami po tym nierównym, skalnym gruncie, zwłaszcza w momentach tak niebezpiecznych, musi być sztuką prawie akrobatyczną.

Sala operacyjna w wąskim, podłużnym pomieszczeniu. Wczoraj dokonano w niej resekcyj żołądka u niemłodej kobiety. Kilka dni temu w tejże sali ratowano ofiary kolejnego nalotu: raniionych bombami kulowymi i odłamkowymi. Oglądam polskie i radzieckie sterylizatory. Aparat tlenowy ma etykietkę: „Hongrie-Budapest”. Radziecki aparat do anestesji. Stół operacyjny produkcji chińskiej. Lampa bezcienkowa z etykietą: „Veb-Carl Zeiss Jena”. Inna część grot: sala reanimacyjna. Podłoga z desek ułożona nad przepaścią. Bambusowe łóżka obok stalagmitów.

Plecioni z maty daszek osłania naturalny korytarz między skalami. Laboratorium. Mikroskopy produkcji radzieckiej i polskiej z etykietą „WZPO Warszawa”. Suszarki z napisem: „Prozamet — Poznań”. Pod nogami widzę światło sączące się z dolnej kondygnacji grot. Schodzimy niżej. Oddział produkcji leków. Desyktor węgierski z napisem „Factory for Laboratory Equipment Budapest”. W szpitalu produkowane są między innymi środki przeciwko robaczycy, czerwonce, ciężkim oparzeniom — oraz pewne skuteczne specyfiki medycyny orientalnej. Apteka: flakony, ampułki, próbki. Polskie antybiotyki, sucha plazma, instrumenty chirurgiczne. Polska centrifuga z etykietą: „Zakład Doświadczeń, Zespół Wydziałów Wrocław”. Od trzech lat działa — i spisuje się bez zarzutu w warunkach podziemnych. Waga z Lubelskich Zakładów Sprzętu Pomiarowego. Lekarstwa produkcji lokalnej. Obok nich: medykamenty radzieckie, bułgarskie — i znowu nasza „Polfa”. Radiologia: aparaty z NRD. Etykieta: „Veb — Transformatoren- und Roentgen-Werk Dresden”. Starannie zabezpieczony bunkier. Działa w nim dynamo produkcji chińskiej, zaopatrujące grotę szpitalną w energię elektryczną.

— jakie dolegliwości dają się najbardziej we znaki mieszkańcom tujszych okolic?

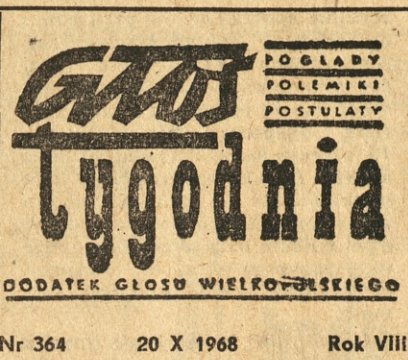
— Choroby żołądkowe i reumatyczne. Ponadto bardzo często bronchit i zapalenie płuc.

— Czego najbardziej wam brak w codziennej pracy?

— Przydałby się nam przenośny rentgen. Odczuwamy niedostatek instrumentów chirurgicznych i antybiotyków. Mimo trudności pracujemy intensywnie. Kładziemy duży nacisk na konieczność propagandy zasad higieny i profilaktyki wśród miejscowej ludności. Każdy pracownik szpitala, niezależnie od wszelkich innych zajęć, obowiązany jest piętnaście dni w roku poświęcić na działalność w tej właśnie dziedzinie.

Wszyscy pracownicy szpitala, zarówno lekarze jak i personel pomocniczy, kształceni byli na miejscu.

Dokończenie na str. 2



Są takie głosy w przedzjazdowej dyskusji — głosy wyrażone kodem nieprzekładalnym na mowę potoczną. Ich treść, niedostępna ogółowi, ma dla nas wszystkich kapitalne znaczenie. Kodem wypowiadają się specjaliści — uczeni, inżynierowie. Kontaktują się z sobą coraz bliżej — ci z laboratoriów i ci z fabrycznych hal. Jest ich w Wielkopolsce kilkanaście tysięcy, razem tworzą poddane żelaznej, ma tematycznej dyscyplinie wziętego, co trzeba zaraz i tego, co za dwadzieścia lat.

Przełamałem wpięte do tekturowych teczek maszynopisy — opracowania najróżniejszych zagadnień sporządzone przez wielkopolskich inżynierów w komitetach problemowych Naczelnej Organizacji Technicznej: przemysł maszynowy, budownictwo, energetyka... Podobne elaboryaty powstawały i dawniej, lecz przedzjazdowa dyskusja wyraża nie wpłynęła na inwencję twórczą i ukierunkowała poszukiwania. Satisfakcję sprawia świadomość, że proponowane przez poznaniaków rozwiązania niejednokrotnie z uznaniem przyjmuje się w całym kraju. Te sukcesy nie rekompensują jednak dysproporcji ilościowych: pod względem liczebności kadr inżynierów — technicznych daleko Wielkopolsce do średniej krajowej.

Intensywny rozwój Politechniki Poznańskiej w ostatnich latach znacznie polepszył sytuację. Przed sześciu laty Politechnika kształciła 2900 studentów na trzech rodzajach studiów, dzisiaj kształci 6600. Wtedy wydawała 270 dyplomów rocznie, obecnie wydaje 750. Wówczas 23, teraz 76 profesorów i docentów, wówczas 230, teraz 400 asystentów.

Rozrostowi uczelni towarzyszył proces dostosowania jej profilu do potrzeb wielkopolskiego przemysłu. Na Wydziale Mechaniczno-Technologicznym utworzono specjalności: odlewniczą oraz silników spalinowych. Na Wydziale Maszyn Robotycznych — specjalności ciążników i samochodów oraz maszyn roboczych ciężkich, zwłaszcza melioracyjnych. Wydział Elektryczny od trzech lat specjalizuje studentów w zakresie automatyki, uruchomiono także specjalności: maszyn elektrycznych, miernictwo elektryczne i aparaty elektryczne. Nowy Wydział Chemiczny przygotowuje fachowców dla przemysłów: farmaceutycznego i kosmetycznego.

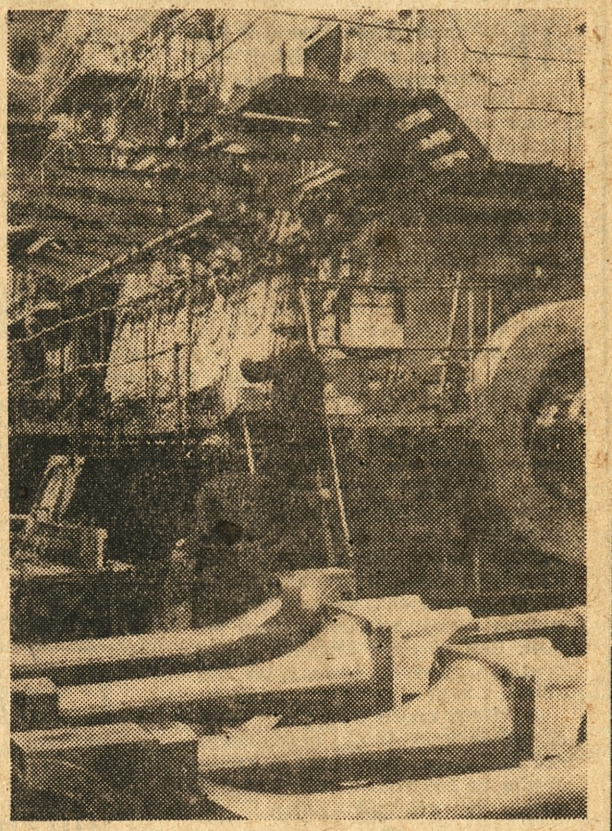
To jeszcze za mało na optymizm. Uczelnia musi nie tyle towarzyszyć gospodarstwu przedsiębiorstwu, ile je wyprzedzać. Obecny stan pozwala na reorganizację Politechniki z myślą o perspektywach.

Czyni się więc starania o powołanie od przyszłego roku Wydziału Automatyki, który stanowiłby rozwinięcie tejże specjalności na Wy-

SILNIKI Z HCP

Prawie 60 procent produkcji Zakładów H. Cegielski w Poznaniu przeznaczone jest dla odbiorców zagranicznych. Dotychczas zakłady wyeksportowały ponad 200 potężnych silników okrętowych do 10 krajów. Na zdjęciu: montaż silnika okrętowego przeznaczonego dla Meksyku.

CAF — fot. Staszyszyn



dziale Elektrycznym z uzupełnieniem o mechanikę precyzyjną. Wydział Chemiczny prawdopodobnie wzbogaci się o specjalności nieorganiczne.

Rozległość prac naukowo-badawczych przekazuje o konieczności połączenia małych katedr w wielkie organizmy, które umownie można nazywać instytutami. Taką strukturę ma Wydział Chemiczny składający się z dwóch instytutów, na Wy-

Oczywiście i bez instytutów, w przeszłości, uczelnia niosła pomoc gospodarce. Nie sięgając do odległych przykładów, wymienimy szereg najcenniejszych z ostatnich opracowań: w Katedrze Silników Spalinowych — metoda pomiarów i obliczeń ciepłego toków w silnikach wysokoprężnych; w Katedrze Urządzeń Elektrycznych — badanie łuku elektrycznego w próżni celem zbudowania wyłącznika próżniowego dla energetyki, w Katedrze Technologii Metali — metoda elektromagnetycznego wyciskania odkuwek o skomplikowanych kształtach; w Katedrze Dróg Żelaznych — badania w zakresie podtorza kolejowego; w Instytucie Nowych Źródeł Energii — zbudowano ogniwo paliwowe średnotemperaturowe dla zasilania aparatury pomiarowej. Zapewnienie o ogromnym znaczeniu tych prac czytelnik — niefachowiec musi przyjąć na wiarę, ale na pewno niczyjej wątpliwości nie budzi znaczenie tych gałęzi gospodarki, do których się odnosi.

Nowe kierunki badań na Politechnice wymagają szybkiego zwiększenia liczby profesorów, docentów i doktorów. Dotychczasowe tempo nie zadowala i dlatego w lutym przyszłego roku uruchomi się cztery studia doktoranckie dla pracowników przemysłu i Politechniki. Przemysł ma szansę zyskania liczniejszej kadry na bardzo wysokim poziomie naukowym.

Ponad 80 procent absolwentów Politechniki pozostaje w Wielkopolsce. Skok minionych sześciu lat wyraźnie widać na liście członków Wojewódzkiego Oddziału NOT: 13 970 osób w roku 1963 i ponad 18 000 obecnie, w tej liczbie 9811 w wieku od 21—40 lat. Absolwentów PP spotyka się w „Cegielskim” i w Koninie, w „Pomocie” i w PKS, na kolei i w dziesiątkach różnych fabryk. Częstokroć zajmują kierownicze stanowiska. Angażują się nie tylko w sprawy czysto fachowe, są w wielu przypadkach oddanymi działaczami społecznymi. 939 członków NOT zasiada w radach narodowych różnych szczebli. Trudno policzyć, ilu z nich kończyło Politechnikę Poznańską lub Wyższą Szkołę Rolniczą, ale jest to jakaś miara aktywności społecznej środowiska, w którym ludzie młodzi, wychowankowie poznańskich uczelni, stanowią duże grono.

Wojciech Burtowy

Wizjonerzy stali i betonu

dziale Elektrycznym istnieje Instytut Nowych Źródeł Energii. W studium przygotowawczym znajdują się instytuty: Budownictwa i Komunikacji.

Każdy z tych wielkich organizmów będzie dysponował kadrą kilku profesorów i docentów, kilkunastu doktorów i kilkudziesięciu asystentów. Połączy się i wzmocni laboratorium. Zmiana struktury organizacyjnej pozwoli, na podejmowanie tematów badawczych decydujących o zasadniczym wzroście poziomu techniki w danej gałęzi przemysłu. W końcowym etapie reorganizacji Politechnika Poznańska powinna składać się z 15—20 instytutów. Instytuty te nawiążą ścisłą współpracę z dużymi zakładami przemysłowymi.

Nie należy sądzić, że moment zakończenia reorganizacji stanie się punktem zwrotnym. Instytuty przemysłowo-uczelniane już się rodzą. W tych dniach ministrowie dwóch resortów podpiszą akt powołujący Instytut Silników Trakcyjnych, wspólną placówkę Politechniki i HCP. Plan badań obejmuje dziedzinę wysokoprężnych silników okrętowych i kolejowych. Dalsze placówki powstaną w przyszłym roku kalendaryjnym.

Nie tak dawno na łamach tygodnika „Kultura” publikowany był cykl wspomnień („Skoła janczarów”) Alojzego Twardckiego, który przewieziony został w głąb Niemiec hitlerowskich na pełne zgermanizowanie i przygotowanie do roli przyszłego knechta. Nie jest to przypadek jedyny. Córka mojego przyjaciela, rodem z Wielkopolski, również dzieliła podobny los w Niemczech. Gdyby nie upórczywe poszukiwania za pośrednictwem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i gdyby nie powstał ostry konflikt pomiędzy dwiema niemieckimi rodzinami, wychowana zostałaby w NRF na szowinistyczną Niemkę. Ujawnienie nie polskiego pochodzenia dziecka spowodowało to, że po kilkunastu latach mogło ono wrócić do swojego ojca. Luiza D. obecnie inżynier — rolę pracuje pod Warszawą. Tych kan dydatów na Niemców, mających zasiłki żołnierskie szereg hitlerowskiej Rzeszy było bardzo wielu. Małżeństwa pozbawione rodziców w różny sposób „kinderheimach” czekały na orzeczenia specjalistów od rasy germańskiej, czy zostaną zaadoptowane jako germańskie, czy też przezna-

Józef Pieprzyk

Kandydaci na knechtów i niewolników

Z mroków okupacji hitlerowskiej

czy się je na niewolników i na zagładę.

Wiele polskich dzieci hitlerowcy zabrali z podpoznańskiego miasteczka ka Mosiny. Pobieżny szacunek mówi że było ich około setki. Jest to mój sokość, która po Zamojszczyźnie największą w kraju złożyła ofiarę na rzecz nienasyconego okupanta. Historia to niezwykle tragiczna związana z 1943 rokiem.

Władze okupacyjne postanowiły zastraszyć i przetrzebić mieszkańców tego miasteczka. Pod pretekstem rze komego uprawiania sabotażu i kolportowania niesprzyjających Niemcom informacji w styczniu 1943 aresztowano wiele osób. 2 marca setkę osób załadowano na 3 samochody.

Trzecie aresztowania nastąpiły 8 września, a w dniu następnym poza bieranio dzieci aresztowanych rodziców. Razem zabrano ponad 400 osób, co stanowiło 10 procent ogółu mieszkańców. Droga aresztantów samych chodów wiodła do Poznania, do siedziby Gestapo w Domu Żołnierza, stamtąd na Fort VII, z fortów do Oświęcimia i innych obozów. Pod koniec lipca 53 mężczyzn i 9 kobiet mosińskich wywieziono w nieznanym kierunku, słuch o tej grupie zaginął.

Młodzież powyżej lat 16 dzieliła los w obozach koncentracyjnych. Młodzi chłopcy i dziewczęta skierowani zostali do dziecięcego obozu pracy w Łodzi, a niemowlęta do różnych „kinderheimów”. W łódzkim obozie zgromadzono kilkanaście tysięcy

cy dzieci szły one tam pasy naprawiały bieliznę, prostowały igły. Była to praca niezwykle trudna — wspomniała więźniarka w tym obozie lek. — wet. Wiesława Skibińska — Skutek — oczy od wysiłku bolały. Za zaśnieć przy robocie dawano 25 batów. Wybuchła epidemia jaglicy, dzieci same się zarażały, aby móc odpościć na izbach chorych, za to kara nie je głodem. Gdy zbliżały się wojska radzieckie, na obóz padł wyrok zagłady. Baraki podłano benzyną, lecz rozkazu gestapowcy nie zdążyli wykonać.

A jak było w owych „Kinderheimach”? Brat wspomnianej pani Wiesławy, mgr Jerzy Skibiński pamięta,

że głowę miał owrzodzoną, że strasznie cierpiał przy stryżeniu włosów. Po wyzwoleniu z tego hitlerowskiego żłobka wydobyła go krewna. Ale po pobycie w nim pozostał uraz. Wszystkiego bał się w domu, bał się własnej siostry, zdawało mu się, że wszyscy go chcą bić tak, jak były go kijami „opiekunki” w owym przytułku. Miał przecież półtora roku, gdy go zabrano, a zaledwie trzy, gdy wrócił do ocalałej matki. Brat Jerzego — Wojciech został wywieziony do „Kinderheimu” w Potulicach. Ojciec został zamordowany.

Oto kilka przykładów tragicznych losów rodzin mosińskich. Z rodziny Szwedków (rodzice i syn) nikt nie wrócił. Z robotniczej rodziny Jeżewiczów wróciło tylko tych dwoje dzieci, które zesłane zostały do Łodzi. Z rodziny Tomowiaków, wrócił tylko ojciec — starszek i czworo dzieci. Zginęło sześć osób i matka. Z rodziny Pachójków — ojciec, matka

Dokończenie na str. 2

W Poznaniu przy Starym Rynku jest apteka, której wnętrza, zgodnie z wymaganiami konserwatora, wystroju na wzór średniowiecznej pigularni. Robotę wykonano artystycznie, niemal kunsztownie. Z wierności konserwatorskiej sztuce nawet farmaceutę postawiono w spadku co nie co po jego protoplastach. Ścieślej — niektóre sukcesy zafacanej roboty.

Chyba nie inaczej, bowiem po dziś dzień farmaceuta — ten z tzw. pierwszym stołem — jest przede wszystkim urzędnikiem i do tego wyposażonym w prymitywne narzędzia: ołówek, klej, stempek i bloczek kasowy. Każdą receptę musi żmudnie obliczyć, podzielić na procenty, zsumować i opisać, a wszystko na papierku i w głowie, przecież do innych celów kształconej. Huk drobnej roboty, a że klient czeka, więc niechby chociaż jakiś mechaniczny sumatorek do pomocy mu dali. Gdzież tam, przecież farmaceuta to człowiek uczony, po Akademii, z arytmetyką radę sobie da.

A klient czeka i pojąć nie może, gdzie kalkulator: wykształcenie magistra farmacji kosztuje chyba że 150 000 złotych, a maszyna do liczenia tylko kilka.

Falczakowa z przekrojowych bajeczek twierdzi, iż różnica między pracą kobiety w biurze i w domu polega na tym, że niedokończona roboty w domu nie można usadzić do szuflady. Dowcip przedni, ale Falczakowa powinna dodać, że w pracy domowej zmieniło się już wiele, natomiast w biurze — wszystko niemal po staremu, jak za najlepszych czasów. Jego Cesarstwo — Królewskiej Mości Franciszka Józefa. Rządziej wprawdzie widzi się zarekawki, pióro maczane w inkaucie, czy kolebany bibularz, ale nadal trudno się pozbyć drewnianych liczydeł, pękających dzienników podawczych, kopiatów, foliów itp.

Żadnych w gruncie rzeczy wyraźniejszych dowodów postępu, symptomów radykalniejszych zmian metod pracy biurowej. Jednym tylko ukryć się nie da: rośnie nam biurowa społeczność w tempie raczej niezwykłym, grubo przerastającym tempo rozwoju fabrycznych zakładów produkcyjnych.

W 1966 roku pracownicy administracyjni stanowili 6,8 procent

ogółu zatrudnionych, w 1967 — 6,9 procent, a w pierwszym półroczu br — ponad 7 procent. Nic dziwnego, skoro w latach 1965 — 68 przeciętny wzrost zatrudnienia w naszym województwie mierzył się wskaźnikiem 12,8 procent, a dla grupy pracowników administracyjno — biurowych wskaźnik ten wynosił 22,8.

Wydańność pracy jest hasłem dnia. I słusznie, bowiem bez jej systematycznego wzrostu długo trzeba będzie czekać na wyższy standard życia obywateli. Rzecz jednak znamienita, wszystkie apele o wydajniejszą robotę mają jeden kierunek: nacelowano je na pracowników produkcyjnych. Zupełną natomiast rzadkością są wezwania o wydajniejszą pracę biurolistów. Przeciwnie, spiętrzenie potrzebnych, czy niepotrzeb-

Zbigniew Mika

U Falczakowej i gdzie indziej

nych (ktoż to odgadnie?) obowiązki biurowych wywala szczególne zasoby wyobraźni kierowników, którzy dokonując nieraz cudów, by uzasadnić konieczność przyjęcia nowego urzędnika. Często o niskich kwalifikacjach, byle był.

Niestety, liczni kierownicy administracji zakładowych i instytucji — jakoś nie chcą sobie przy swoich jedynie słusznego poglądu, że nie liczba urzędników decyduje o jakości pracy urzędu czy administracji, lecz ich kwalifikacje, organizacja i metody pracy. Można nawet z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że nadmiar pracowników biurowych wprowadza zamęt i rozrabianie kompetencji lub też ich zupełny brak.

Nieco inna sprawa, to kwestia wykorzystania kwalifikacji. Oto wspomniany wcześniej, tylko dla przykładu farmaceuta, pracownik z wyższym wykształceniem, trwoni czas na rachunki, które dziś nawet w pocztowym okienku

zaczyna sporządzać się przy pomocy maszyny. Zakład Ubezpieczeń Społecznych w Poznaniu liczy 600 pracowników, z których większość ma do czynienia z matematyką i dysponuje nie więcej niż 10 (dziesięcioma) maszynami do liczenia. Dyrektorzy spędzają dziesiątki godzin na naradach, ekonomiści wystukują na maszynie jednym palcem listy urzędowe, prawnicy roznoszą akta do podpisu. Krzątający wiele, pożytku zbyt mało.

I pomyśleć, że dzieje się to wów czas, gdy wielu zadań przemysłu, budownictwa, handlu czy transportu nie można wykonać — bo brak ludzi.

Wymagamy sumiennej, intensywniej pracy od robotników, techników i inżynierów, trzeba jej także wymagać od administracji. Nie mamy przy tym na myśli pracy ponad siły, jesteśmy tylko przeciw mitrędze, którą tworzy zła organizacja; przeciw marnotrawstwu kwalifikowanych sił, które rodzi nieodpowiednie wyposażenie pracowników w nowoczesne środki techniczne; przeciw trwonieniu czasu, czego źródłem są złe nawyki przeznaczania pracy w biurze na sprawy służbowe i prywatne. Jesteśmy też przeciw zbędnym czynnościom i zadaniom, które często są konsekwencją przyrostów biurokracji. (W pewnej instytucji pracownicy prowadzą ścisłą ewidencję dziurek w 20-przejazdowych kartach tramwajowych. Proponują powołać stanowisko inspektora kontroli tej ewidencji. Trzeba być konsekwentnym i już do końca niedowierzać pracownikom, czy aby na pewno jeździli służbowo.)

Jesteśmy za wzrostem wymagań, doboru kadr i modernizacją pracy. Wydaje się, że jest to jedna z podstawowych dróg naturalnego ograniczenia przerostów w biurach, kantorach i urzędach, których wskaźniki zatrudnienia w stosunku do grup pracowników produkcyjnych są wysoce niepokojące.

Mój znajomy dyrektor mówił mi, że mógłby znacznie zmniejszyć stan swego biura, bez szkody dla roboty i interesantów, ale... Ale korzyść z tego dla biura i nie go znikoma a kłopotów bardzo wiele. Zważywszy zaś, że instytucja nie może trwać w bezruchu musi się rozwijać — chyba postara się o jakiś dodatkowy etat...

— Mamy tutaj żłobek i przedszkole. Nie zapominajcie, że wśród naszego personelu przeważają kobiety. Matki nie chcą się rozstawać z dziećmi. Dzieci są więc razem z nami.

„Razem z nami...” razem — w górskich grotach, których powietrze przesyca apteczny zapach leków. Skały nad głową i skalny grunt pod nogami. Ślady niedawnych bombardowań w pobliżu. Sterczące resztki baraków, spalonych ogniem rakiet. Na podórzedzi, w bliskości lśniących metalicznie instrumentów, obok bambusowych łózek, na których spoczywają ranni i chorzy — stoją karabiny. Ten widok przypomina mi słowa, które w Wietnamie są hasłami, prawdą codzienną: praca i obrona.

MONIKA WARNEŃSKA

Samotni pod wodą

„OSTATNI PO BOGU” — film produkcji polskiej. Scenariusz: Jerzy Lutowski. Reżyseria: Paweł Komorowski. Zdjęcia: Jerzy Staliński. Wykonawcy: kapitan Hulewicz — Tadeusz Schmidt, kapitan Zapala — Józef Nowak, porucznik Kwiatkowski — Andrzej Kozak, komander Pawlikowski — Andrzej Szalawski, prokurator Krawczyk — Ryszard Pietruski, doktor Bryl — Zdzisław Maklakiewicz, Martula — Andrzej Zaorski, nawigator Praja — Stanisław Michalski, żona Hulewicza — Teresa Szmigielówna, żona Kwiatkowskiego — Irena Karel i inni.

Paweł Komorowski ma chwałę na słabość do wojska. Raz za razem się naszymi wojskami powietrzno — desantowymi, co dało w efekcie udany film „Czerwone bereity”. Teraz zainteresowała go marynarka wojenna, zwłaszcza ci, co przebywają samotni pod wodą — załogi okrętów podwodnych. Jest to szczególnie klan ludzi. Łączy ich małe metalowe pudło łodzi („metalowa trumna” jak mawiają), w którym poruszać się trudno, chodzi się stale zgarbionym, a o izolacji wobec otoczenia nie ma co marzyć: Tu wszyscy są z sobą niezwykle złączeni, na dobre i złe, tu nawet inny kodeks moralny obowiązuje niż na innych jednostkach marynarki. Często przebywanie pod wodą powoduje także częstą u „podwodniaków” dolegliwość — nadszycenie.

Ta właśnie choroba trapi kapitana Hulewicza. Powinien zrezygnować z dowództwa „Jastrzębia”. Nadszycenie powoduje przecież momenty braku przytomności. U dowódcy okrętu podwodnego rzecz niedopuszczalna. Ale ambitny kapitan nie wyobraża sobie życia bez pływania. Nie tylko nie zawiadamia wyższego dowództwa o swojej dolegliwości, ale zobo wiązuje lekarza — swego przyjaciela do milczenia. Mamy więc naszkicowany pierwszy konflikt moralny, zarówno kapitana jak i lekarza, który zawdzięcza Hulewiczowi życie jeszcze z lat wojny.

„Jastrzab” wracając z zadania ma awarię. Osłada na dnie morskim. Wszystko wskazuje na to, że stało się to z powodu błędów w nawigacji. Sam Hulewicz jest tego pewien. Czy

jednak błąd spowodował ktoś inny, czy sam dowódca w momencie zamroczenia? Oto jest pytanie. Powstaje inny problem. Czy wzywać bazę na ratunek czy próbować ratować się samemu narażając życie pięciu ludzi zamkniętych w uszkodzonej grodzi. Pomiędzy dowódcą a jego zastępcą zdania są podzielone. Ci dwaj ludzie zresztą wyraźnie się nie lubią. Film szkicu więcej takich sytuacji konfliktowych wśród załogi. Samotni pod wodą, skazani na siebie, rozdrażnieni, łatwo ulegają nastrojom, wybuchają.

Jak więc widzimy sytuację konfliktową jest w filmie dużo. Są napięcia, są sytuacje ostateczne, gdy rozstrzygają się sprawy życia i śmierci. Powinno wystarczyć na dobry film przygodowy propagujący jednocześnie naszą marynarkę wojenną. I rzeczywiście reżyser osiąga ten rezultat, że z zainteresowaniem śledzimy przebieg wydarzeń. No i z przyjemnością oglądamy ulubionych aktorów, którym bardzo do twarzy w marynarskich mundurach.

A jednak czujemy niedosyt. Twórcy filmu ograniczając dramat do intymnych, kameralnych rozmiarów oszczędzili nam widoków akcji na szerokim morzu, okrętów w działaniu, łodzi podwodnej w czasie boju, choćby na manewrach. Szkoda, bo pamiętamy jak świetnie gra samo morze w takich na przykład angielskich dramatach filmowych. I rzecz ważniejsza — nie urzeka nas marynarka w wydaniu filmu Komorowskiego. Za dużo u tych ludzi negatywów, za dużo ukrywania czegoś, niepewności wobec siebie i kolegów, tchórzostwa, braku odpowiedzialności, niezdeterminowania itd., itp. Rozumiem, że właśnie o to chodziło, by pokazać tych twardych ludzi morza bez lakieru, ze wszystkimi słabościami, po prostu po ludzku. Ale na mój gust przesłono w tym odbrązowianiu. Albowiem ta załoga tak jak ją pokazano nie budzi po prostu zaufania.

Kandydaci na knechtów

Dokończenie ze str. 1

i 2 córki zginęły, tylko syn — inwalida ocalał. Z rodziny Maciejewskich — tylko córka, z wielodzietnej rodziny robotniczej Urbanków na majątku Budzki — 2 córki i syn nie zobaczyli już swoich rodziców. Z rodziny Lucknerów dwóch synów i matka znaleźli śmierć w obozie, ojciec wyszedł cało. Lekarz dr. Jurdziński został zamordowany, żona nie przeżyła gehenny w Oświęcimiu, syn niedługo cieszył się samotną wolnością po wyzwoleniu. Zmarł. Podobne rejestry znajdziemy w stu mosińskich rodzinach.

W tych rodzinach niechętnie wspomina się o tym koszmarze półtorarocznego przebywania w towarzystwie śmierci. To śni się jeszcze po nocach. Sny są okrutne. Gdy człowiek z przerażeniem się budzi, z ulgą stwierdza, że to było przed 25 laty, że to sen, wspomnienie. Kto nie

przeżył obozu i więzienia hitlerowskiego, ten w pełni nie rozumie dramat ludzkiego, jaki się rozgrywał w tamtych latach.

W ostatnią niedzielę lipca br mosiński oddział ZBoWiD-u zaprosił tych, którzy jako dzieci przeżyli obozy hitlerowskie. Przybyło 25 osób o najsmutniejszym dzieciństwie. Poza staną one członkami tej organizacji. Jeden z ocalałych harcerzy — więźniów — Mieczysław Konieczny przed paru tygodniami składał zeznania przed sądem w NRF obciążając żyjących w tym kraju katów.

Przy rynku mosińskim znajduje się wmurowany w ścianę domu mały pomnik z tablicą, na której są wyryte nazwiska pomordowanych jesienią 1939 roku. Jeszcze bardziej wyryte są w pamięci mosińskich owe dni zgrozy od 1943 do 1945 roku.

JÓZEF PIEPRZYK

SZPITAL W GROTACH

Dokończenie ze str. 1

w kraju. Dyrektor Pham Dinh Tho pochodzi z prowincji Thanh Hoa na północy. Jest żonaty, ma dwoje małych dzieci. Żona pracuje daleko stąd, jako technik radiowy. Dzieci są przy matce. — Podczas pierwszego ruchu oporu kształciłem się w Wyższej Szkole Medycznej — położonej w dżungli — wspomina dyrektor Tho. W roku 1962 uzyskał dyplom lekarski na Akademii Medycznej w Hanoi. Od tego czasu pracuje w rejonie górniczym. Jego właściwa specjalizacja to interna. Tak jak wszyscy wietnamscy lekarze dokształca się jednak intensywnie w zakresie chirurgii.

Zastępca dyrektora, Do Phat Thanh pochodzi z południa. Cała je-

go rodzina pozostała w Cholonie — części Sajgonu. Od roku 1954 nie ma żadnej wiadomości o dzieciach. Było ich czworo. Najstarsza córka miała wtedy lat dwanaście. Obecnie, jeśli żyje jest dorosłą kobietą. Z trzech synów Thanh najmłodszy miał za ledwie pół roku, gdy jego ojciec, żołnierz z pierwszej wojny wietnamskiej razem z licznymi towarzyszami broni wyruszył na północ. Przez cały okres pokoju Do Phat Thanh pracował w dziedzinie medycyny wojskowej.

— A skądże się wzięła u was taka gromada drobiazgu? — pytam zdumiona widząc dzieciaki bawiące się wśród kamiennych przesmyków?

i obowiązek hegemonu narodu i najmocniej akcentowali honor i kierunek demokracji socjalistycznej w Polsce, w swoich głosach podkreślają wzrost poczucia własności państwa i wysuwają konkretne wnioski do realizacji. Słowa są coraz mocniejsze. Tak.

Alle dyskusje zatoczyły szersze kręgi niż tylko sprawy ekonomiczne, polityczne i socjalne. Dużo miejsca poświęcono ideologii i to nie tylko w aspekcie czystoślowackim. Towarzysz Gomułka mówił na konferencji w Katowicach (...), m. in. o obciążającej obecności w partii oportunistów i karierowiczów. Nikt nie zaprzeczy, że i w tym fragmencie zaznaczył się dialog troską robotników siedzących na sali konferencyjnej.

ROZPOZNAĆ PRZECIWNIKA

Kwestie polityki i ideologii zajmują nadal istotne miejsce w publikacjach prasowych. Np. „Kultura” przedstawia stenogram dyskusji naukowców na temat jednego z autorów amerykańskiej koncepcji dywersji politycznej i ideologicznej.

„Spotkaliśmy się tutaj — stwierdza we wstępie do tej dyskusji Janusz Wilhelm — aby porozmawiać o postaci Zbigniewa Brzezińskiego. Jest to postać zwracająca uwagę z dwu przynajmniej względów. Po pierwsze — teoretyczne koncepcje profesora Brzezińskiego zda-

ją się leżeć u podwalin strategii, jaka obecna demokratyczna administracja Stanów Zjednoczonych postuluje się w walce politycznej ze światem socjalistycznym. Po wtóre — jeśli ta administracja w wyniku listopadowych wyborów prezydenckich utrzyma się u władzy — rola Brzezińskiego z pewnością jeszcze wzrośnie, obejmując już nie tylko strefę teorii, ale i strefę bieżącej pracy”.

Nazwisko Brzezińskiego spotyka się coraz częściej na łamach naszej prasy. Jego koncepcje wrogie są nam, socjalizmowi. Jeżeli więc chce się skutecznie przeciwstawić wrogim poglądom czy inspiracjom, a takim jakie reprezentuje Brzeziński trzeba, to należy rozpoznać przeciwnika. Temu celowi służy publikacja „Kultury”. Warto się z nią zapoznać.

W „Argumentach” Michał Horoszewicz publikuje artykuł pt. „Leksykon gwiazdy szefciarienne”. Omawia w niej treść niektórych hasel zawartych w wydawnym w NRF „Lexikon des Juden-tums”. Znajdujemy w nim sporo znanych także skądinąd stwierdzeń, które bezpośrednio godzą w dobre imię Polski i narodu polskiego. Przy okazji autor zauważa, że największy księgozbiór książek żydowskich (około 1,5 mln tomów) znajduje się nie w największej bibliotece żydowskiej świata, ale w warszawskiej Bibliotece Narodowej.

GDY ZDARTO MASKI

W publikacji pod tym tytułem Ryszard Gontarz pisze w „Walce Młodych” o procesie Krzysztofa Topolskiego. Jakże popelniał przestępstwo?

„Urząd prokuratorski tak odpowiada na te pytania: „oskarżam Krzysztofa Topolskiego, syna Fryderyka i Pauli z domu Gotlib, urodzonego 13 marca 1947 r. w Katowicach, zamieszkałego w Warszawie przy ul. Solariego 3 m. 1, bez zawodu, nie pracującego, studenta I roku Wydziału Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego tymczasowo aresztowanego od dnia 11 marca 1968 r. o to że:

I. dnia 9 marca 1968 r. w Warszawie w wypowiedziach publicznych w Politechnice Warszawskiej poniżał Naród Polski twierdząc, że wszyscy sławni ludzie są pochodzenia żydowskiego i tylko oni nadają się do sprawowania władzy w Polsce a nadto, że w okresie okupacji hitlerowskiej Polacy współdziałali z Niemcami w eksterminacji Żydów”.

Autor zatrzymuje się nad tym punktem oskarżenia bo w nim streszcza się sens sprawy Topolskiego, chociaż prokurator wysunął przeciwko niemu także zarzut „rozpowszechniania wiadomości mogących wywołać niepokój publiczny”.

K. Topolski, syn wysokiego urzędnika państwowego, wychowany w warunkach dobrobytu, kiedyś należał do sławnego Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności, czyli

raczkujących rewizjonistów. Studiował bez większych skutków, ale dzięki znajomościom ojca po kolei na trzech uczelniach. W marcu poza tym o co został oskarżony udzielił też rad Polakom by przyjęli „wyciągniętą” rękę NRF”.

„Proces przeciwko Krzysztofowi Topolskiemu — pisze Gontarz — był klasycznym potwierdzeniem ujawnionej w marcu prawdy. Prawdy o bananowej młodzieży, której Topolski jest symbolem. W przypadku Topolskiego obydwa te zjawiska wystąpiły w formach niezwykle jaskrawych, zwulgaryzowanych. Organizatorzy marcowych zajęć Michnik i spółka byli zbyt cwani, by wyklądać karty na stół. Na zewnątrz, w stosunku do studentów występowali jako rzeczy postępu, demokracji, a wtedy gdy uznali to za potrzebne, jak np. w sprawie „Dziadów”, jako obrońcy tradycji i kultury polskiej oraz zwolennicy poprawnego marksizmu. Tylko na zewnątrz. Między sobą byli bardziej szczerzy. W marcu, gdy zdarte zostały maski z twarzy „komandosów” i ich duchowych przywódców, wyrzuciło z tych masek to, co tak jaskrawo w całej obrażającej nagości wystąpiło u Krzysztofa Topolskiego: nienawidzę do socjalizmu, antypolski szowinizm idące w parze z nieokreślonymi ambicjami osobistymi”.

Autor informuje, że za znieważanie narodu polskiego K. Topolski skazany został na półtora roku więzienia oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na dwa lata.

LEKTOR

Przeglądamy
Prasę

Dyskusja przedzjazdowa trwa w pełni. Jej nowym etapem są partyjne konferencje wojewódzkie, z których obradowała już przeszło trzecia część. W związku z nimi, a także w związku z konferencjami powiatowymi i dzielnicowymi, które zakończyły się już wcześniej w całym kraju, M. W. drukuje na łamach „Życia Literackiego” refleksje pt. „Konferencje przedzjazdowe”.

„Na zebraniach i konferencjach przedzjazdowych — pisze — panuje pełna swoboda wypowiedzi — ma się rozumieć czas musi na to pozwolić. Nie dziwnego, że ten rozległy dialog budzi tyle nadziei. W innej atmosferze, w takiej, w której czegoś nie wolno, dialog nie jest możliwy. Dzielnie i po gospodarsku występują robotnicy, ale najdziwniej biją chłopcy... Nikt jednak nie zginął. Dobry my naród. Robotnicy, którzy w marcu jeszcze raz dokumentowali, co to jest prawo